NUMER 2. STYCZEŃ 1909. ROK I.

NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

ZAPOMNIANY LUD.

Przebieżałem *Górną Orawę*, dodaję z naciskiem polską, oparłszy się gdzieś o zamki orawskie. Po drodze ruiny, nie zamków, lecz narodowości polskiej. Zgroza przejmuje człowieka patrzącego na garstkę polskiego ludu górno-orawskiego, zapomnianego i porzuconego przez własny naród. Jak to nazwać? Wolę wcale nienazywać, gdyż mógłby mi wymknąć się wyraz nieparlamentarny. Ostatecznie rzecz sama określa się dostatecznie.

Użyłem wyrazu ruiny narodowe. Tak jest istotnie. Narodowość polska wogóle rozsypuje się na Orawie w gruzy. Czas ostateczny zamienić piękne słowa w czyn prawdziwie patrjotyczny, czas ostateczny ocknąć się z gnuśnej ospałości i ratować ostatki ludu polskiego na ziemi orawskiej, które po bohatersku zdołały mimo wszelkich przeciwieństw wiekowych zachować skarb rodzimej mowy.

Na Orawie dziś jeszcze żyje przeszło 35.000 ludu polskiego, od żupaństwa trenczyńskiego do Spiżu, dość szerokim pasem ciągnącego się trzema powiatami sądowymi: tersteńskim, namiestowskim i twardoszyńskim wzdłuż granicy galicyjskiej. Nie przeczą temu Słowacy, co „Narodni Listy“ raczą przyjąć do wiadomości i nie sierdzić się na mnie, że „Słowaków, należących naukowo i urzędowo do pnia czeskiego“ grabię na rzecz Polaków. Źródła słowackie wymieniły mi jako wyraźnie polskie następujące gminy na Górnej Orawie: Suchagóra, Głodówka (Hladowka), Chyżne, Jabłonka, Dolna Lipnica, Górna Lipnica, Bukowena, Podskle, Studenka, Górna Zubrzyca, Dolna Zubrzyca, Orawka, Piekielnik, Podwiek, Sarnia, Harkabuz, Wesele, Mątne, Nowoć, Rabcza, Polhora, Sichelne, Rabczyca, Klin Zakamienny, Dulów i Medwedzie, razem 26 gmin, między któremi n. p. Jabłonka posiada 3180, Dolna Lipnica 3200, Wesele 2500 ludności. W przytoczonych gminach wynosi ludność razem około 35.000 dusz, która, kładę na to nacisk, podług świadectwa słowackiego używa czysto-polskiej gwary. A jest to minimum, gdyż Słowacy zaliczają wszystkie inne górno-orawskie gminy, w których polszczyzna zepsuta jest słowaczyzną przez wiekowy wpływ szkoły i kościoła — do osad słowackich. Takiemi gminami są, jak się na miejscu przekonałem: Liesek, Czimchowa, Wetanowa, Bereznica, miasteczko Terstena, Hamry, Uscie, Zuberec, Podbiel, Chabówka i Erdetka. Ludność tych miejscowości wynosi około 10.000 dusz.

Między Podhalem a Górną Orawą niema żadnej różnicy: tu i tam jeden lud co do typów, jednakowe stroje ludowe, jednakowa budowa chat, jednakie zwyczaje i obyczaje, ta sama gwara. Podhalanie i Górni Orawiacy znaczni białemi obcisłemi spodniami z grubego sukna o czarnych pręgach (*„štiepach“*), które zaczynają się na Podhalu i idą do Dolnej Orawy, gdzie ten sam mają krój i tylko barwa biała zmieniona na czarną. Baca i juhas orawski niezaprzeczalnie rodzony brat bacy i juhasa tatrzańskiego.

Zrobiłem tu doświadczenie, że polski lud na Orawie w przeciwieństwie do polskiej ludności innych żupaństw w północnych Węgrzech posiada świadomość swej narodowości. Zaraz w Suchej-górze, na pierwszej stacji węgierskiej, zetknąłem się z gospodarzem suchogórskim, Janem Kowalikiem, z którym nawiązałem rozmowę. Z początku mówił ze mną ze słowacka, później, gdy poznał we mnie Polaka, czysto po polsku.

Zapytałem go, gdzie się nauczył mówić po polsku.

— U nos, w Suchejgorze mówią we wsi *okrągle* z polska, tak jak na galicyjskiej stronie. To wszyćko jedno — jedna wiara i jeden język.

— A umiecie czytać po polsku?

— Jo umiem, som sie naucyłem.

— W szkole was nie uczą po polsku.

— Ale gdzieztam. Nase dzieci ogłupiają po madjarsku zaroz od pierwšej klasy. Trochę ucą po słoweńsku — psynajmniej religji.

— W jakim języku u was kazanie i z jakich modlicie się książek?

— U nos kazanie po słoweńsku.

— Czy rozumiecie?

plecach po świecie. Mówili po słowacku silnie z polska. Mogliśmy się dobrze jednak porozumiewać.

Jeden z nich mówił do mnie:

— Ja w Polszcze nihdy nie buł a po polsku wszećko rozumiem. To prawie jedno. Jak sem buł w Ameryce, to tam byli nasze Słoweńskie pospołu z Poljakami przy robocie przy żeleznici a my se dobrze rozumieli. Tam wszećkie narody: Poljaki, Chorwaty, Rusnaki, Szwedy, Słoweńskie, czyste Słowaki...

— Co to są czyste Słowaki? zapytałem się, przerywając.



POLSKA W SYMBOLACH: Pamięć walecznym w r. 1820.
(Podług współczesnej litografii).

— Prowda. A cemuz byśmy nie rozumieli, to takze jedno, tylko trochę inacej. Ksiązki do nabozeństwa momy takze słoweńskie.

Zagadkę, dlaczego gospodarz z Suchejgóry rozmawiał ze mną z początku po słoweńsku (słowacku) wytłumaczył mi jeden z słowackich proboszczów w okolicy, u którego informowałem się o stosunkach miejscowych.

— W naszych polskich wsiach umieją wszyscy po słowacku — objaśniał mnie. — Z obcymi mówią zawsze po słowacku, p o p o l s k u z a ś t y l k o p o m i ę d z y s o b ą.

Dalej po drodze zawarłem znajomość z dwoma szklarzami Józefem Geradem i Janem Smutnym z Chlebnic, którzy roznoszą szyby szklanne na

— To od Turczańskiego i od Zwolenia — tam mówią czysto po słowacku.

— A wy?

— My już męszamy trochę z polska. U nas na Orawie są także Poljaki nad hranico galicyjsko. Ido od Suchejhory aż po Trstene i prawie po Trwardoszyn (miasteczko powiatowe, czwarta stacja za Suchągórą). Drugi mówił prawie po polsku, lecz ten z pudłem objuczonem szkłem był w Krakowie, a nawet w Warszawie i Łomży.

Lud orawski bardzo inteligentny, podobnie jak nasz tatrzański. Ziemia nieurodzajna gna stąd ludzi, podobnie jak z Podhala, do Ameryki, skąd wracają do domu z sporo zarobionym groszem. W Czarnym Dunajcu opowiadano mi, że chłopi

na Podhalu wzbogaceni są pieniądzmi amerykańskiemi. W wiejskich kasach reiffeisenowskich leżą znaczne kapitały, a ceny gruntu w okolicy Czarnego Dunajca i Nowego Targu bajecznie poszły w górę, gdyż chłopi, zarobiwszy sobie w Ameryce kapitał, umieszczają go tylko w ziemi albo raczej czyhają chciwie na kawałek gruntu. Najwiarygodniejsze osoby zapewniały mnie w Czarnym Dunajcu, iż w tamtejszej okolicy płacą chłopi za morg lichego pola po 1600 a nawet po 2000 koron. Kubek w kubek takie same panują w tym kierunku stosunki na Orawie. Chłopi wzbogaceni w Ameryce kupują za każdą cenę grunta, płacąc tu za morg równie lichego gruntu po 1000 koron i więcej. Wykupują też szlachtę madjarską.

Jeżeli ludność polska na Orawie i wogóle w północnych Węgrzech słowaczeje, nie dzieje się to bynajmniej z przyczyny Słowaków, lecz jest wypływem krajowych stosunków, a w niepośledniej mierze naszego własnego niedbalstwa. Polska ludność tutejsza potrzebuje przedewszystkiem polskich księży, gdyż najszkodliwiej działa na nią pod względem narodowym wpływ słowaczyzny kościelnej. Szkoła, która jest madjarska mniejszą odgrywa rolę. Dzieci, gdy z niej wyjdą, zapominają madjarszczyzny na łonie rodziny i mówią gwarą swej wsi, co znaczy, iż tam, gdzie ludność polska, mówią po polsku. Szkoła nie słowaczy, więc tylko kościół. O to jednak Słowaków winić nie można. Z węgierskich seminarjów wychodzą bowiem prócz księży madjarskich także słowaccy. Polskich księży niema na Węgrzech zgoła. Otóż trzebaby przedewszystkiem starać się o polskich duszpasterzy właściwą drogą. Odwołujemy się tyle na sympatje Węgrów dla nas, śpiewamy nawet: „Węgier Polak dwa bratanki“, dlaczegoż nie staramy się o spożytkowanie narodowe tych sympatyj? Sądzę nawet, iż rząd węgierski nie sprzeciwiałby się pewnej zmianie pod tym względem, a także i ordynarjaty biskupie, które są zupełnie w ręku Madjarów. Jeśliby chodziło w kościele o zamianę madjarszczyzny na polszczyznę, byłoby to w dzisiejszych stosunkach na Węgrzech rzeczą niemożliwą, inaczej atoli przedstawia się sprawa, jeśli chodzi o danie polskiej ludności zamiast słowackich, polskich księży. Duchowieństwo słowackie samo widzi w tem niewłaściwość, lecz ono jej zaradzić nie jest w stanie. Po polsku nie umie, więc każe, jak umie po słowacku, a tak samo ma się rzecz z nauką religji. Książki zaś do nabożeństwa słowackie zagnieździły się zwyczajowo. Przed rokiem 1848 i później jeszcze modlił się lud polski na Słowaczyźnie podobnie jak było w księstwie cieszyńskiem z książek czeskich i czeskie posiadał kancjonały. Z wprowadzeniem słowackiego języka piśmiennego — po r. 1848 — usunęła słowaczyzna czeszczyznę również z kościoła.

Proboszcz z Czarnego Dunajca ks. Brozik zrobił z własnej inicjatywy szczęśliwy wyłom w tym kierunku. Oto porozumiawszy się z proboszczem w Piekielniku — wieś polska górno-orawska przy granicy galicyjskiej — wysyła także na odpusty swego wikarego, który miewa polskie kazania. Zasługuje to na powszechne uznanie. Inni duchowni galicyjscy na pograniczu powinni pójść za tym dobrym przykładem, a nasze miarodajne czynniki nie powinne zapominać o biednej polskiej ludności na Górnej Orawie, lecz przedsięwziąć odpowiednie kroki, t. j. rokowania w tym kierunku z rządem węgierskim i konsystorzami dyecezjalnymi.

Reszty może dokonać uświadamianie narodowe.

G. Smólski.

ADAM SZYMAŃSKI.

MATKA

(Pani Kozłowska)

Szkic — z cyklu „ROK 1863“.

(Ciąg dalszy.)

I teraz dopiero, gdy partja wchodziła do miasta, a rozrzewnienie, które ogarnęło wszystkich, przeszło w zgiełk szumny i radosny, teraz, gdy ta podniecona i wciąż podniecająca się masa ludzi zaczęła wtłaczać się w główną ulicę, zajętą przez niewiasty różnych wieków i stanów, już dokładnie o wszystkiem powiadomione, teraz oczy wszystkich, biegnąc za spojrzeniami rozpłomienionych niewiast, zwróciły się na wózek malutki i siedzącą na nim kobietę, jak gdyby teraz dopiero ją ujrzały.

Czarny ubiór jeszcze bardziej uwydatniał wielką bladość jej twarzy, a surowość czy też ta wyrazistość prawie śmiertelna, którą czasem przybierają rysy ludzkie w chwili wielkiego cierpienia, nadawały jej postaci, wśród ogólnego ożywienia i rozgorączkowania, jakiś imponujący, posągowy spokój.

Jak więc przed chwilą o samej partji, tak teraz o jadącej na wózku lotem błyskawicy rozeszły się wieści:

„...Że mając siedmiu synów dorosłych, nie ma ona ani jednej córki“.

„...Że oprócz pięciorga wnucząt z najstarszego syna, jeszcze pięcioro z trzech innych synów teraz u niej się znajduje...“

„...Że, chociaż ma lat przeszło sześćdziesiąt, od rana do późnej nocy sama rząd całego gospodarstwa prowadzi“.

„...Że wreszcie, żegnając wychodzących, łzy jednej nie uroniła...“

Podziw, zdumienie, cześć ku tej kobiecie prostej zapalały znowu serca ludzkie.

Więc to jest ta matka, co wszystkie swe dzieci, wszystkie co do jednego, w bój krwawy posyła, sama samiuteńka z drobnemi wnuczętami pozostając?!...

„Patrzcie, patrzcie!“ — ze wszech stron wołano.

„To ona, to ona!“...

„Ona — żona wodza, partję prowadzącego“.

„Ona — matka tych siedmiu, co w pierwszym szeregu idą!“...

„To pani Kozłowska!“

A gdy wtłoczono się głębiej w ulicę, gdzie już wyłącznie tylko same niewiasty stały, okrzyki, wrzawa:

„...Patrzcie, patrzcie! To matka, co synów siedmiu... Boże Najwyższy, Królowo Najświętsza, tylu synów oddała!“... już bez przerwy grzmiało naokół, rozchodząc się coraz dalej.

I ona, czarną swą chusteczką obwiązana, choć tak skromna i już drżąca cała, bólem swym wielkim jak nimbem okolona, była dla wszystkich na swym wózku ubogim, jako pani dostojna...

Dostojna matka polska.

Zrozumiano bowiem, jak wielkiem jest cierpienie tej kobiety milczącej... i oceniono ofiarność tej matki, nikomu dotąd nieznanej.

I niewiasty starsze i młodsze, chrześcijanki i żydówki, nawołując się, krzycząc, z płaczem cisnęły się ku niej, aby ucałować jej ręce spracowane lub choćby jej szat dotknąć tylko...

Wynoszono krzyże, obrazy, przykazania i błogosławiono ją nimi...

Pocisnęło się zaś wszystko ku niej tak tłumnie, że wejście partji wstrzymanem zostało.

I oto ta partja, w której wszyscy od dzieciństwa tak dobrze ją znali, jako bliską, jak sąsiadkę, jak krewną, jak matkę, stojąc, wstrzymana falą ludzką, z niemym podziwem i gwałtownie wzbierającem rozrzewnieniem patrzyła teraz na bohaterkę, której dotąd pośród siebie może i nie widziała.

Pierwsi, jak gdyby jakiemś przeczuciem wiedzeni, rzucili się ku niej dwaj synowie, obok idący: najmłodszy i pan Jan, strzelcom przewodzący. Z głośnem wołaniem: „Matuś nasza, matuś kochana!“ upadli obaj na kolana.

Za nimi poszła partja cała, a za partją klękali już wszyscy, ręce ku siedzącej wyciągając.

Surową jej twarz opromieniło światło cudowne... pochyliła się jej głowa osiwiała, jak gdyby kłoniąc się przed tłumem i chyląc się coraz niżej i niżej, p. Kozłowska upadła w objęcia swego Jasia... — ...płaczem i łkaniem wybuchła cała rzesza...

*

I widząc otwarte naoścież szerokie podwoje świątyni starej, tuż znajdującej się, niewiasty, zebrane na ulicach, iść tam zaczęły bez przerwy i gromadząc się przed ołtarzem Matki Bolesnej, wkrótce wypełniły po brzegi nawę obszerną.

Dziwnie uroczystą bywa zawsze taka modlitwa przypadkowo wspólna, tłumna a cicha, uczuciem czystem, potrzebą ukojenia i gorącą chęcią zespolenia się z Bogiem wywołana.

Nikt tu nie idzie dla oczu ludzkich i względów świata; nie masz tu wiary martwej, nie masz faryzeuszów modlitwy i komedjantów świątyń pańskich.

Błyszcząca nędza wobec Boga na krzyżu nie rozpiera się jak na widowisku teatralnem. Dziady kalekie, baby ułomne i starce wielce niemocne zasiadają sobie w ławkach najpierwszych.

Zda się, Pan przeszedł z powrozem i obalając stragany, powypędzał z domu swego handlarze i przekupnie...

Wśród ciszy uroczystej jęki urywane, westchnienia i łkania tłumione zlewają się ze szmerem ust rozmodlonych, ni to szumem liści drżących, w jeden hymn wielki — hymn wiary, nadziei i miłości.

Tak modlono się tu wówczas, modlono się długo i gorąco, a gdy weszła do świątyni i p. Kozłowska, klękając przed ołtarzem matki Bolesnej i z ust wszystkich wybiegła prośba serdeczna: „Królowo nasza, Pani Litościwa, krzep i podtrzymuj tę matkę, tak srodze bolejącą!“ — zdawało się, że znikły mury ponure i modlących się różnych wyznań ogarnął jeden kościół żywy...

*

Już na trzeci dzień po wejściu partji i owej modlitwie powszechnej zaczęły się dla pani Kozłowskiej straszne „gody krwawe“.

Najmłodszy jej syn „Benjaminem“ przez żydówki w czasie modłów nazywany, uprosił, że wysłano go z jakimś podjazdem i w nieopatrznej pogoni wpadł w zasadzkę. Wieczorem przywieziono go do miasta, zakłutego spisami.

I ani łzą, ani jękiem nie ujawniła ona swej boleści wielkiej, gdy szła za zwłokami dziecięcia, w najpiękniejszej wiośnie życia zagubionego. Szła sama i tylko wtedy, gdy siły zupełnie ją opuszczały, opierała się na ramieniu swego ulubieńca, Jasia siłacza, którego, jako w dzieciństwie bardzo słabego, ponad inne dzieci ukochała.

Ale zbliżała się cięższa chwila.

Bielmo bowiem padało na oczy narodu... i uznawano nieraz za wodzów ludzi, „miłujących szaty długie, hołdy na rynkach i stołki przednie w bożnicach“ — a nie widziano tych, co „będąc cisi, nie wadzili się i nie krzyczeli i głosu których nie słyszano na ulicach“...

(D. n.).

POLSKA W SYMBOLACH.

(Ciąg dalszy.)

Po epoce wielkich czynów i nadziei, a małego plonu — chwila ciszy i rozpamiętywania. Polska w granicach kongresowych żyła echem wielkich spraw, które na nowo pokrajały kartę Europy i wspomnieniem ludzi w rydwan boga wojny wprzągniętych, tych, co to sławą swego imienia świat cały wypełnili, a krwią swoją wszystkie pobojowiska. I stworzył się wieniec zasług, długi łańcuch nazwisk, korowód ludzi, którym miano pobojowiska starczyło jako tytuł chwały i wiecznej pamięci.

Zebrał je wszystkie na jednej karcie jakiś francuski artysta, odlitografował F. X. Pawłowski w Warszawie r. 1820. Grobowiec „pamięci walecznym“ w stylu swojego czasu, z wieńcami, liśćmi palmowymi, klepsydrą i cyprysami. Obok obelisk chwały, porzucona broń, sztandary, znicz płonący i krajobraz nieswojski, jakiś górzysty, palmami strojny, tak jak one wszystkie skwarne a górne okolice, którędy tętnił łomot polskich ułanów.

W symbolu tym, mimo mnogich znaków, najwięcej mówią nazwiska, te w wieńcach laurowych, takie krótkie a takie wymowne, od Racławic, poprzez Pragę, Sandomierz, Raszyn, od ziemi włoskiej, hen aż po piramidy, od St. Domingo do dalekiego Smoleńska i Moskwy. — Olbrzymi grobowiec, którego kopułą niebieskie sklepienie, a głazem mógł być tylko symbol z krótkim napisem „Pamięć walecznym“.



Amor w kasku ułańskim.
(Według sztychu W. Podolińskiego).



Nagłówek dekretu nominacyjnego gwardji narodowej warszawskiej z r. 1831.

Ale oto na grobach nowe życie powstaje, młode, bujne, jak na gałęzi cyprysu rozświegotane ptactwo. Warszawa pełna życia, wojskowych przeglądów na placu saskim, tajemnicza i niezgłębiona w swej konspiracyjnej robocie, na zewnątrz zaś wesoła, huczna, strojna.

Jej symbolem amorek ze sztychu Podolińskiego.

Psotny chłopczyna w kasku wyruszył ułańskim, strzałą mu bagnet żołnierski, ładownica sajdakiem... „jakże go nie kochać, gdy to polski żołnierz“...

Więc władnął potężnie mały chłopczyna, bagnetem brał serca niewieście, i pieśń była o nim szeroka i usta się śmiały z za przyzby okiennej i wzrok biegł tęskny, rozmarzony tam, gdzie w polu bujne kwiecie i... gdzie ułan na pikiecie.

Złoty, w kasku ułańskim, chłopczyna...

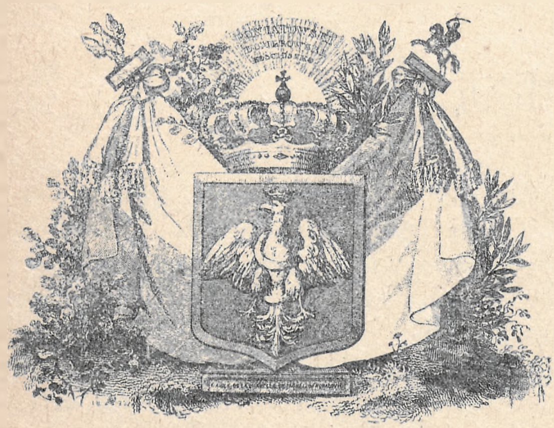
Oto przystanął na chwilę, znieruchomiały skrzydełka i broń postawił do nogi, jakby czekając... A skwarne westchnienia biegną ku niemu zewsząd, wpatrzyły się oczu rozkwitłe bławatki i szepcą usta modlitwę: Bóg by dał, żeby on pokochać chciał...

W żołnierskim rynsztunku, szczęśliwy amorek.

Wnet jednak pierzchnął, bo oto sztandary na krzyż złożone, orzeł nad nimi w koronie, klingi szabel, paszcze armat: gwardji narodowej powstańczej symbole.

Ale oschłą jest jakoś i konwencjonalną ta armatura powstania listopadowego. Braknie jej wyrazu siły żywiołowej, choćby tego, który na Kościuszkowskich banknotach widnieje, niemasz ożywczego symbolu z chłopskiego sztandaru kosynierów.

Odtąd już pójdą owe na krzyż złożone sztandary wraz z rozbitkami na wygnanie i symbolizować będą różnymi znakami swymi to, co w danej chwili najbardziej poruszało emigrację, co jej dawało nadzieję sojuszów, lub interwencji narodów·



Orzeł z kaplicy Jagiellońskiej.
(Według sztychu A. Oleszczyńskiego z r. 1832).

Bezpośrednio po upadku powstania listopadowego wyrył na miedzi Antoni Oleszczyński symbol i rzewne wspomnienie z ojczyzny. Jest to orzeł z kaplicy jagiellońskiej w Krakowie na tle dwu sztandarów z Orłem i Pogonią i królewskiej korony, po bokach liść dębu i wawrzynu, u góry wschodzące słońce z glorją nazwisk: Poniatowski, Dąbrowski, Kościuszko.

Symbol ten miał być niejako herbownym znakiem emigracji, miał jej przypomnieć rodzinne pielesze, a zarazem niejako zarekomendować, czy wylegitymować wobec narodu, wśród którego żyć przyszło rozbitkom. Co jest najciekawsze na owym symbolu, to ułożenie i porządek nazwisk u góry, wskazujący, że we współczesnej opinji pierwsze miejsce w narodowym panteonie dzierżył Poniatowski, po nim Dąbrowski, a na ostatek Kościuszko. Dzisiaj jest wprost odwrotnie.



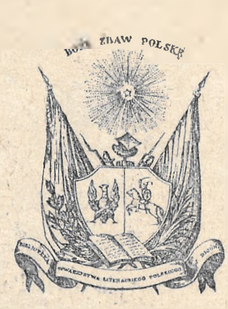
Emblematy z r. 1841.

Skorygowała zresztą ów porządek sama emigracja, bo już na zaproszeniu do wzięcia udziału w uroczystości dziesiątej rocznicy powstania listopadowego, w r. 1841, znajdujemy emblemat, na którym nazwiska bohaterów, rozpoczynają się od Kościuszki. Nagłówek tego zaproszenia, czyli wspomniany ów emblemat jest klasycznym symbolem emigracyjnym, wyrażającym wspólność broni Francji z Polską i z tą wspólnością związane nadzieje. Sztandar Polski i Litwy, skrzyżowany i wstęgą związany ze sztandarem francuskim, na którym kogut gallicki w laurowej gałązce. Wspólną obu sztandarom wolność pomieszczono w formie francuskiego napisu po jednej i drugiej stronie, poczem na stronie polskiej: „całość i niepodległość“, na stronie zaś francuskiej hasło „porządek publiczny“ chyba jako gwarancja, że wychodźtwo polskie nie przyczyni zbyt wiele kłopotu swoim gospodarzom.



Emblemat manifestu Polaków w Belgji r. 1836.

Bardziej jaskrawo i widocznie wystąpiła idea braterstwa ludów i nadzieja ich interwencji w obronie Polski na „manifeście Polaków, znajdujących się w Belgii“ z r. 1836. Zasadniczy motyw wyżej opisanego emblematu rozwinięty tu został w cały szereg sztandarów innych narodów, unoszących się nad Polską i Litwą i jej hasłami „wolność — całość — niepodległość — równość — braterstwo“. A Polska i Litwa występuje w towarzystwie innych uciśnionych narodów słowiańskich, Morawian, Czechów, Słoweńców, a nawet Rosjan. Dla nich wszystkich interwencja wolnych narodów, których imiona wypisane są na sztandarach, stanowi jedyną nadzieję, którą usymbolizowano w kotwicy, według słów listu św. Pawła do Żydów: „którą (nadzieję) mamy, jako kotwicę



Ex libris bibljoteki polskiej w Dijon.

duszy i bezpieczną i pewną i wchodzącą aż wewnątrz za zasłonę“. (Hebr. 6. 19).

Dla siebie, w domu, skromniejsze były symbole i piękniejsze, niż ten, który tworzył ex-libris „bibljoteki towarzystwa literackiego polskiego w Dijon“. Na tle sztandarów herby Polski i Litwy z rozwartą księgą, u góry nadzieja walki orężnej, ale już w towarzystwie ludu wiejskiego, co usymbolizowano w krakusce. Na górze słowa modlitwy „Boże zbaw Polskę“. *Fr Jaw.*

(Dok. nast.).

FELIKS GWIŻDŻ.

Nie wiem, gdzie jestem...

Nie wiem, gdzie jestem; i tak mi tu dziwnie,
Jakbym się nagle odnalazł w powieści,
W której serdecznie, prosto i naiwnie
Ogród przed chatą szumi i szeleści
I opowiada starodawne baje — —
Że sen się życiem, życie snem wydaje..

Śnieg, jak zwierzenia, mówione o zmroku,
Cicho się błąka po przytulnym sadzie — —
Zda się, że bajka spływa na obłoku
I na gałązkach drzew do snu się kładzie —
Ale nim zaśnie, jeszcze spojrzy na mnie,
Bo tak mię kocha wiernie i niekłamnie.

Dróg do mnie niema; chyba ów wędrowiec,
Co zimą — latem o głodzie i chłodzie
Sam siebie szuka — sam po sobie wdowiec —
Tu zajdzie mówić mi o swej przygodzie,
A gdy ostatnie już wypowie słowo,
Wstanie, by dalej iść i żyć na nowo.

Lecz i odemnie niema dróg; dokoła
Cicha bez końca biel i dal bez końca;
Nikt tu nikogo mianem nie zawoła
I nikt nikomu nie pokaże słońca...
Jest tu ogromna cisza, śnieg i drzewa
I harfa, która milczy, gdy mi śpiewa...

Nie wiem, gdzie jestem — i tak mi tu dziwnie,
Jakbym się nagle odnalazł w powieści,
W której serdecznie, prosto i naiwnie
Ogród przed chatą szumi i szeleści
I opowiada starodawne baje — —
Że sen się życiem, życie snem wydaje...

BOLESŁAW LIMANOWSKI.

Co to jest cywilizacja?

(Erazm Majewski. Nauka o cywilizacji. Prolegomena i podstawy do filozofji dziejów i socjologji. Warszawa. 1908.)

Mamy dwa wyrazy, któremi oznaczamy to samo pojęcie: *cywilizacja* i *kultura* W naszych rozprawach dawniejszych używano wyrazu: *cywilizacja;* dopiero w drugiej połowie zeszłego stulecia, zapewne pod wpływem pisarzy niemieckich: Klemma, Kolba i Hellwalda, zostaje coraz częściej używany wyraz *kultura* i dzisiaj prawie zupełnie usunął używanie wyrazu: *cywilizacja.* Oznaczałoby to, że nie tylko wpływ niemiecki przemógł dawniejszy francuski, lecz i w pojmowaniu tego, co nazywamy cywilizacją, nastąpiła pewna zmiana; wyraz bowiem pierwszy uwydatnia bardziej stronę duchową: podnoszenie się godności obywatelskiej — drugi zaś bardziej stronę materjalną: uprawę, chów, wykształcenie doskonalszych, t. j. bardziej przydatnych gatunków żywych istot. W każdym jednak razie, i jeden i drugi wyraz pojmujemy w tem znaczeniu, że oznacza on późniejszy nabytek, uzyskany w życiu społecznem; nabytek, wymagający pracy i usiłowań społeczeństwa. Cywilizacja czy też kultura przedstawia się nam jako stopniowanie w oznaczeniu mniejszej lub większej wartości życia społecznego lub społeczeństwa. Rozróżniamy społeczeństwa mniej i więcej kulturalne. Cywilizację pewnego społeczeństwa możnaby porównać do dorobku, do jakiego pojedynczy człowiek dochodzi własną pracą i pod względem umysłowym i pod względem majątkowym.

P. Erazm Majewski nadaje *cywilizacji* inne, o wiele rozleglejsze, znaczenie: dla niego cywilizacja jest równoznaczna z życiem społecznem, równoznaczna ze społeczeństwem (str. 298 i 299). Więc przedewszystkiem zachodzi pomiędzy autorem i czytelnikami nieporozumienie, wynikające z odmiennego pojmowania używanego wyrazu. Powtóre, wyrazy: *cywilizacja, życie społeczne, społeczeństwo* są to pojęcia oderwane (abstrakcyjne), które w rzeczywistości odłączone od siebie być nie mogą. Niema życia społecznego bez społeczeństwa, niema cywilizacji bez życia społecznego. Rozumiemy to dobrze, lecz oderwane pojęcia są dla nas użyteczne i potrzebne dla rozumowania, dla coraz głębszego wnikania w to, co przedstawia nam rzeczywistość. I dla tego oddzielenie cywilizacji od życia społecznego przedstawia niewątpliwą korzyść naukową.

Autor, zboczywszy z drogi prostej i dobrze ubitej, po której szedł tak dzielnie w pierwszej połowie swej książki, wpada następnie na manowce, które go błędnie prowadzą. „W spekulacjach socjologicznych trzeba znać granice, podobnie jak w filozofji. I tu i tam poza taką granicą zaczyna się jałowe fantazowanie, nie mające nic wspólnego z nauką“ (str. 277). Trafne te słowa autora na nim samym się sprawdzają.

„Skoro cywilizacja — powiada autor — składa się ze społeczeństwa, t. j. z żywych i czynnych C' (autor rozumie ludzi pod tą literą), oraz produktów ich działalności (społecznej); skoro cywilizacją jest to, co tkwiąc w nas, czyni nas ludźmi: *to jest ona czemś zupełniejszem od społeczeństwa.* Całością indywidualną, czemś, co można porównywać z organizmem i mechanizmem, jest nie społeczeństwo, lecz cywilizacja“ (str. 304). To, co autor tu mówi o cywilizacji, da się zastosować i do ży-

cia organicznego: skoro życie organiczne nie może istnieć bez organizmu, t. j. żywych i czynnych komórek, oraz produktów ich działalności; skoro życiem jest to, co tkwiąc w komórkach, czyni je żywemi komórkami; to jest ono czemś zupełniejszem od organizmu. Więc cywilizację nie należy porównywać z organizmem, lecz z życiem organicznem. Cywilizacja jednak jest tylko miarą wartościową życia społecznego, więc z życiem organicznem należy porównywać życie społeczne. I porównywując społeczeństwo z organizmem, uwzględniamy zarówno ich ustroje jak i życie w nich przejawiające się. „*Cywilizacja jest tworem* — jak mówi autor — *całkiem realnym w świecie*“ (str. 304). To samo da się powiedzieć i o życiu organicznem.

P. Majewski, doświadczywszy na sobie — jak powiada — uciążliwości idei narzuconych; jako przyrodnik, mało obeznany z literaturą historjozoficzną, spostrzegając, że niczego go ona nie naucza, zerwał z nią i postanowił iść własną drogą. Brać mu tego za złe nie można. Szukanie nowych dróg bywa często korzystne dla nauki. Metoda, którą posługiwał się autor, *przyrodnicza metoda analityczna,* oddała olbrzymie usługi przyrodoznawstwu. Przystąpił do badań, dostatecznie uzbrojony w wiedzę zasad podstawowych bytu nieorganicznego i organicznego. I — jak już zauważyłem — w pierwszej części jego książki postępujący za nim czytelnik widzi dobrego w nim przewodnika, który prowadzi go szerokim gościńcem, otwiera mu rozległy widnokręg i, rzucając strugę światła, objaśnia co było ciemnem i wątpliwem. Uogólnienia, do których dochodzi, są przekonywujące, zjednywające nasz umysł. Wskażę na tablicę porównawczą pomiędzy kryształem, gromadą, organizmem i społeczeństwem (str. 67). Prócz małej wątpliwości co do kilku szczegółów, wydaje się nam ona najzupełniej uzasadniona. Przyprowadza ona do wniosku, że „społeczeństwo jest *prawie* zupełnie podobne do organizmu, a niepodobne do gromady i kryształu; cała różnica między społeczeństwem a organizmem polega na tem, że społeczeństwo jest związkiem komórek *jednakowych* i *równych sobie* morfologicznie, organizm związkiem komórek niejednakowych i nierównych sobie morfologicznie“ (str. 66).

(Dok. nast.).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Historja polityki narodowościowej rządu pruskiego wobec Polaków. Napisał dr. Józef Buzek. Wydawnictwo „Wiedza i życie“. Lwów 1909. Od czasu ukazania się książki p. Bujaka o Galicji, drugie to już wydawnictwo, sięgające datami swemi i naukowym rozbiorem aż w samą głąb obecnych stosunków życia i rozwoju narodu polskiego. Autor przedstawia walkę zaboru pruskiego z naporem niemczyzny, aż po schyłek roku 1908, począwszy od postanowień kongresu wiedeńskiego, gwarantujących Polakom pełne prawa narodowe. Upadek powstania listopadowego rozpoczyna i w Prusach politykę wrogą przeciw Polakom za prezesury Flottwella, chociaż ta polityka ostrożną była jeszcze podówczas i nie miała zamiaru drażnić ludności polskiej.

Po okresie rozkwitu i ożywionej działalności Marcinkowskiego, jak niemniej rozwoju literatury, skutkiem czego Wielkopolska stanęła chwilowo na czele ruchu umysłowego i gospodarczego całej Polski, nastąpiła po stłumieniu „wiosny narodów“ reakcja. Konstytucja pruska z r. 1850 nie przyniosła Polakom równouprawnienia, nacisk reakcji wzmagał się z każdym rokiem, a po okresie wahań się rządu pruskiego, nastał od r. 1862 prąd bismarkowski, razem z „kulturkampfem“, „rugami pruskimi“ i najdzikszą samowolą biurokracji. Od r. 1885 rozpoczyna się okres polityki eksterminacyjnej, przerwany na chwilę tylko erą Capriviego.

Książka prof. Buzka natłoczoną jest datami i masą materjału pierwszorzędnego wprawdzie, ale utrudniającego znacznie czytanie samej pracy. Cokolwiekby jednak krytyka mogła powiedzieć o jej formie, to przecież jest książka prof. Buzka niesłychanej wagi dokumentem i rekapitulacją stuletnich prawie, a tragicznych zapasów społeczeństwa polskiego z rządem pruskim.

J.

„*Nieśmiertelna Polska*“. Pod tytułem „Immortelle Pologne“ wydał Gabrjel Dauchot, książkę o Polsce, którą z upoważnienia jego, p. Małgorzata Staszyńska przekłada na język polski. Ponieważ tytuł sam świadczy o treści książki, godzi się podać kilka dat z życia autora.

Gabrjel Dauchot, ur. 20-go września 1881 r. w Fresnes-sur-Apance. Kształcił się w Paryżu, w Kolegium Chaptala; następnie studjował dzieje i literaturę Polski, pod kierunkiem Wacława Gasztowtta, a filozofję i literaturę powszechną pod kierunkiem Maurycego Barresa. Redagował przez pewien czas „A l'Assaut!“ („Do Szturmu!“) pismo, które wzorując się na Mickiewiczowskiej „Trybunie Ludów“ wołało donośnie o sprawiedliwość dla ujarzmionych narodów: Irlandji, Armenji, a przedewszystkiem Polski. Jako redaktor „L' Idée“ („Myśli“), jako współpracownik „Revue bleue“ i wielu innych pism, jako prelegent i organizator obchodów polskich, Gabrjel Dauchot szerzył i szerzy niezmordowanie kult Polski, a nienawiść a pogardę dla jej gnębicieli. Obecnie jest sekretarzem wydziału politycznego w „Petit Journalu“ i na tej placówce służy gorąco i umiejętnie naszej sprawie.

Prawa i przywileje Nowego Targu. Wydał Kazimierz Baran. Nakładem Rady miejskiej w Nowym Targu 1909. Wydane w tym skromnym zbiorku przywileje i starodawne dotyczące Nowego Targu, w liczbie czterdziestu czterech, są bardzo ważnym przyczynkiem do dziejów Nowotarszczyzny, piękną pamiątką dla mieszczan tamtejszych, a przedewszystkiem uznania godnym objawem pietyzmu dla pomników przeszłości. Przywileje Nowego Targu poczynają się od r. 1238, w którym wojewoda krakowski, Teodor Cedro, nadał miastu prawo niemieckie, a kończą pergaminem cesarza Ferdynanda I. z r. 1843 z przywilejem na 13 jarmarków rocznie. W tym długim okresie czasu przeszedł oczywiście Nowy Targ daleko więcej, aniżeli to powiadają szczątki jego archiwum, teraz drukiem ogłoszone, ale w każdym razie badacz przeszłości miasta znajdzie w nich niejeden szczegół, rozświetlający stosunki gospodarcze, ekonomiczne, a nawet i polityczne stolicy Nowotarszczyzny. Wydanie aktów jest bez zarzutu, staranne, opisy dokumentów dokładne, uwzględniające wszystkie szczegóły, które mogą mieć wartość dla nauki. W rzędzie dyplomatarjuszów miast prowincjonalnych odznacza się niniejsze wydawnictwo wcale dodatnio.

BB.

Z „Drukarni Polskiej“. Nakładem „Kurjera Lwowskiego“.